Rocznik IV. Kraków 5-go grudnia 1912. Nr. 6.

NASZA SKARBNICA

pismo dla rodzin chrześcijańskich

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **5**-go.

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi na rok: **3** korony — półrocznie: **1** kor. **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** korony — na pół roku: **2** kor. — Do Ameryki rocznie: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Powiśle 12

Wszystkich Szan. Czytelników,

którzy chcą dalej mieć i czytać *Naszą Skarbnicę*, prosimy, aby nadsyłali już teraz nową prenumeratę na rok przyszły 1913.

Kto uiści z góry całoroczną prenumeratę (3 kor.) — ten otrzyma darmo, jako premię, piękny:

„Kalendarz ścienny“ na rok 1913.

Kilka myśli w sprawie oświaty.

Kto zwiedzał Czechy, Prusy lub Danię, musiał zauważyć ogromną różnicę pomiędzy naszym krajem a tamtymi, pomiędzy naszem społeczeństwem a tamtemi. Tam na każdym kroku widzimy zamożność, ład i porządek, gdy tymczasem my żyjemy w biedzie, brudzie i niechlujstwie.

Tam ludzie są zdrowi, rzeźcy i chętni do pracy, — u nas dużo cherlaków i próżniaków. Tam wre i kipi praca ożywiona, — u nas ledwie ruszają się ludzie, tak niesporo idzie im wszelka robota.

Dlaczego jest taka różnica i gdzie leży jej przyczyna?

Wszyscy zgadzają się na to, że narody mieszkające na zachodzie od nas w Europie zdobyły byt lepszy, ład, oraz zdrowie duchowe i cielesne przez mądre rządy i powszechną oświatę. Trzeba bowiem wiedzieć, że tam wszystko jest tak urządzone, żeby człowiekowi życie i pracę ułatwić. Rządy też starają się jak najbardziej o to, żeby wszyscy umieli czytać, pisać i rachować, i wszędzie tam prawie każdy już dziś umie od dziecka czytać i pisać, i każdy też korzysta z tej umiejętności. Gazety i książki rozchodzą się w wielkiej liczbie i niosą oświatę pod najuboższą nawet strzechę.

A u nas?

U nas może połowa ludzi dorosłych umie jako tako czytać, a pisać może jeden z pomiędzy dwudziestu. Ogromna też większość tych, co czytać umieją, nie czyta nic więcej oprócz książki do nabożeństwa w kościele; są nawet u nas jeszcze takie wioski, gdzie ani jednej książki pożytecznej, ani tem bardziej gazety nie znajdziesz. To też ciemnota w naszym narodzie jest jeszcze ogromna, i z tego to braku oświaty pochodzą dzisiejsze nasze niedomagania społeczne.

Najważniejszemi brakami i wadami naszego narodu są: 1) brak cierpliwości i wytrwałości, czyli słaba wola; 2) brak zdrowej, trzeźwej myśli; 3) łatwowierność i lekkomyślność; 4) samochwalstwo i wynoszenie się ponad innych; 5) duch niezgody i brak pracy zbiorowej; 6) niezaradność; 7) chęć szybkiego zbogacenia się; 8) nieposzanowanie własnego i cudzego mienia; 9 duży pociąg do hulaszczego życia. Jeśli głębiej zastanowić się nad temi wadami, to można dojść do przeświadczenia, że jedynie przez oświatę możemy się ich pozbyć i odrodzić się na duchu.

Niestety, położenie nasze jest takie, że najlepsze chęci ludzi rozumnych i zacnych nie wydają owoców takich, jakie byłyby pożądane, bo przeszkody są na każdym kroku. Te przeszkody tamują rozwój zdrowej oświaty, a jednocześnie sprzyjają szerzeniu się innej, trującej oświaty.

Jest bowiem oświata zdrowa, która, jak czysta woda, zmywa kurz i brud z człowieka i wzmacnia jego zdrowie cielesne i duchowe; a jest znowu oświata trująca, która na podobieństwo brudnej i cuchnącej wody nietylko brudu nie

zmywa, ale jeszcze zaraża dusze nasze nowym brudem i jadem.

Taką to oświatę szerzą wśród naszego mało oświeconego ogółu przedewszystkiem te książki i piśmidła, w których na każdej prawie stronicy są opisy najokropniejszych zabójstw, rabunków, wiarołomstwa i innych zbrodni, co je wymyślili w swych zwyrodniałych głowach jacyś pisarze bez sumienia.

Piszą oni umyślnie zajmująco i przystępnie, aby zachęcić ludzi do kupowania tej trucizny i tym sposobem wyłudzić grosz ciężko zapracowany. Szkoda duchowa płynąca z tych wydawnictw jest tem większa, że czytają je ludzie nieoświeceni lub młodzież, która tych zbrodniarzy opisanych w książeczkach uważa często za bohaterów i potem stara się ich w życiu i w czynach naśladować. Gdyby zapytano i zbadano niedawnych i dzisiejszych zbójów i zbrodniarzy, toby się napewno okazało, że co najmniej połowa z nich lubowała się w takich dziełach i czynach, jakie są opisane w książkach pod napisem »Szerlok-Holmes«, »Jacek Teksas« i tym podobnych.

Z tych szkodliwych książek sączy się w dusze nasze straszna trucizna, która jeszcze bardziej podcina nasze zdrowie duchowe i cielesne. Wszyscy ludzie zacni i uczciwi powinni wszelkiemi sposobami starać się, aby takie książki i pisma nie rozpowszechniały się, żeby ich nikt nie czytywał.

Ale trzeba wiedzieć, że oprócz tych książek i pism jawnie szkodliwych są jeszcze inne, na pozór niby pożyteczne, a naprawdę zawierające w sobie ukrytą dla wielu truciznę.

Wśród bowiem pisarzy gazet i książek, którzy są największymi u nas szerzycielami światła, bywają również ludzie chorzy na duchu, a do nich należą przedewszystkiem redaktorzy i pisarze z obozu socyalistów i ludowców.

Tacy pisarze pomału, nieraz prawie niewidocznie sączą w swych czytelników jad, który zatruwa własnego ich ducha. Niszczą oni nieznacznie w czytelnikach to, co dobre i szlachetne, a budzą złe uczucia, jak naprzykład złość ku wszystkim, zniechęcenie do życia i pracy, niewiarę w lepszą przyszłość, albo nienawiść, niezgodę i t. p.

Już dziś widzimy w naszym narodzie skutki takiej szkodliwej oświaty, szerzonej przez ludzi, którzy zatracili zdrową myśl społeczną. Widzimy wszędzie rozdwojenie i kłótnie, widzimy, jak ludzie, którzy przed kilku jeszcze laty byli przyjaciółmi i wspierali się w pracy społecznej, dziś niewiadomo dlaczego patrzą na siebie z odrazą i nienawiścią, szkodzą sobie nawzajem i bardzo często jeden usiłuje popsuć to, co drugi zrobił dobrego.

Potrzeba nam więc oświaty, ale oświaty zdrowej i krzepiącej, a zarazem powinniśmy wystrzegać się trucizny drukowanej.

Każdy człowiek uczciwy, który pragnie odrodzenia swego społeczeństwa, powinien przykładać się wszelkiemi siłami do podniesienia i krzewienia tej prawdziwej, zdrowej oświaty, bo ona tylko może nas dziś podnieść wyżej duchowo i cieleśnie, czyli uszlachetnić nasz naród i polepszyć jego byt cielesny.

KOLĘDA.

W zachwyceniu pastuszkowie
Pobieżeli ku dąbrowie;
Tam blask z szopy lśni do wnętrza
Tam dziecina Przenajświętsza
Ma gniazdo.

Weszli społem, poklękali
I na Dziecię patrzą z dali
Ze łzami;
Niech Mu Pan Bóg błogosławi,
On nas zbawi, On się wstawi
Za nami.

Więc mu jeden z nieśmiałości
Niesie, jak to ludzie prości,
Owieczkę,
Drugi koźlę, a zaś trzeci
Uzbieranych w polu kwieci
Troszeczkę.

Jezus patrzy uśmiechniony
Na podarki, na lud ony
Serdeczny,
Oczy lśnią Mu, jak dyamenty,
Jezus Jasny, Jezus Święty
Słoneczny.

* * *

Stach pękala wydął dudy,
Wziął skrzypice Wojtek chudy
Grzela urznął w bas,
I zagrali zmyślne chłopy.
Aż muzyka z lichej szopy
Idzie kędyś w las.

Wyciągają, wygrywają
Bo wesele w sercu mają,
A w źrenicach łzy.
A każdemu myśli płyną!
O Jezusku! O Dziecino!
Mojeś, moje Ty.

Na fujarkach w głosik miły
Pacholęta zawtórzyły,
A się dusza rwie,
Pieśń od proga mknie do Boga,
Tam, gdzie mleczna idzie droga.
Na lazury mknie.

Świeci blaskiem licha strzecha,
Dziecię w żłóbku się uśmiecha,
Nieskalany kwiat;
Radują się ludzie prości,
Że braterskiej dzień miłości,
Zeszedł już na świat.

WIGILIA.

Było to w przededniu wigilii Bożego Narodzenia, (1777 roku), tego narodowego święta, o którym żaden Polak nie zapomina.

Puławski *) ze swoim oddziałem stał naówczas w Trenton **); małym miasteczku, które od Pensylwanii dzielił tylko most, rzucony przez rzekę, amerykański most owych czasów, budowa z ogromnych kloców drzewa, chwiejąca się, pełna szczerb, a mimo to przeskakująca wody przeszło tysiąc stóp szerokie.

Nadchodzące dni świąteczne, Karolowi, adjutantowi Puławskiego, poddały myśl urządzenia polskiej Wilii. Taił się z tem w początkach, ale naostatek musiał zwierzyć się towarzyszowi Puławskiego, Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać się to nie dawało.

— Panie Macieju — rzekł — mam do was prośbę; gdybyście mi trochę pomódz chcieli, zrobilibyśmy coś, spodziewam się, miłego generałowi.

— Z duszy, serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki posiekać — tylko mów.

Jutro Wigilia Bożego Narodzenia. Ja wszystko urządzę: mam już zamówione ryby morskie, jaja żółwie, murzyn nasz ugotuje. Będzie to piąte przez dziesiąte, ale zjemy na sianie po polsku i przy gwiazdach... kraj nam się przypomni...

— A niech ci Bóg płaci! myśl złota... Ale skądże ty opłatka weźmiesz? A bez opłatka, co to będzie za Wilia. Niema Wilii bez niego, to darmo!

Napróżno łamali sobie głowę.. Zgodzono się jednak bądź co bądź zastawić wieczerzę z ryb na sianie, a w kącie snop polski.

Snop!... Miły Boże... skąd tu wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża? Gdzie żyto, pszenica, jęczmień, owies, wszystko, aż do lnu i tatarki?.. bo w snopie na wilię niczego nie powinno brakować.

---

*) Kazimierz Puławski, konfederat barski. Po upadku konfederacyi pojechał do Ameryki, tam pod wodzem Waszyngtonem walczył za niepodległość Amerykanów i zginął w bitwie po Savannach 9 go października 1779 roku.

**) W Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki.

A im tego wszystkiego potrzeba było, by polską macierz przypominało...

Maciej Rogowski nie śmiał się spytać, skąd się wezmą pieniądze na ucztę, wiedział bowiem, że żaden ich nie miał.

Karol miał od ojca zegarek złoty z łańcuchem, długo oszczędzał go, wahał się, żałował, ale dla wodza ukochanego możnaż był poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu... Z tego grosza miała się Wilia wyprawić...
Szło tylko o opłatek.

Wszystko się dawało albo czemś zastąpić, lub ominąć, niedostatek opłatka był niewynagrodzony... On jeden starczyłby za wszystko.. on mógł być Wilią całą, bez niego wieczerza na sianie — tą uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol rozmyślał o upieczeniu opłatka, gdy dowiedział się, że w niedalekiej osadzie mieszkał ksiądz Francuz, który tam w kapliczce Mszę św. dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Karol siadł na konia, aby pobiedz do tego księdza. Już minął ostatnie domki osadników, gdy na drodze zjechał się z obecnym mężczyzną, widocznie podróżującym. Rysy jego niepiękne, ale miłe i łagodne, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol — uderzony i strojem i twarzą — natychmiast konia powstrzymał. Podróżny siedział na koniu objuczony i miał przewodnika. Wszystkich już w okolicy Karol znał, ten widocznie był obcym gościem z daleka.

Przyłożywszy rękę do czapeczki, podróżny odezwał się po angielsku:

— Czy znajdę w Trenton brygadyera Puławskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału; lękam się, by nie był na jakiej wyprawie.

Po wymowie pytającego Karol poznał w nim cudzoziemca; serce mu uderzyło do tego człowieka i sam nie wiedział, jak wyrwało mu się słowo polskie.

— A! Polak! brat! — zawołał ochoczo podróżny i obaj skoczyli z koni, aby uściskać się, jak bracia rodzeni.

— Jadę od granic Kanady — rzekł podróżny, umyślnie tu do was, do Puławskiego, którego poznać pragnąłem. Nazywam się Tadeusz Kościuszko...*).

— O, słyszeliśmy już o was. Jakże generał rad wam będzie... Ja jestem adjutantem jego, nazywam się Karol Pluta...

— Ach, nie wiesz — przerwał rozrzewniony Kościuszko — co to jest po długim poście posłyszeć mowę swoją, zobaczyć brata!...

Spotkanie najbliższego przyjaciela nie uczyniłoby w kraju na nich obu takiego wrażenia, jak tu zetknięcie się niespodziane dwóch nieznajomych, ale krwią i duchem braci... Stali dosyć długo, ściskali dłonie, nie mogąc się napatrzyć sobie.

W końcu siedli na konie i wrócili do Trenton. Puławski był szczęśliwy z przybycia ziomka.

Tym sposobem Wilia Bożego Narodzcnia stała się podwójnie uroczystą dla ugaszczających.

Całą resztę dnia tego spędzili mówiąc o kraju, o dziejach konfederacyi, o starych i nowych sprawach.

— Słuchaj, mój Macieju — rzekł Puławski wieczorem do Rogowskiego, odwiódłszy go na stronę — nasz święty ojcowski obyczaj każe gościa serdecznie przyjmować..., a jeszcze takiego gościa! naszego Polaka! Sprzedaj, co chcesz, zastaw, pożycz, a trzeba, żeby wiedział, żeśmy mu radzi.

— Panie generale — rzekł Rogowski — proszę być spokojnym, ja z Karolem obmyślimy środki... jakoś to będzie... Tylko co się tyczy jutra... to post i Wilia.

— Wilia! a prawda — rzekł smutnie Puławski.

Cała noc prawie zeszła na gawędzie przerywanej i na nowo wiązanej. Kilka razy rozchodzono się i, pożegnawszy, znów wracano. Mówili o Polsce, nagadać się nie mogli. Każdy z nich był rodem z innego kąta szerokiej ziemi polskiej, ale uczucia i wspomnienia ich łączyły. Kościuszko, Litwin z Brzeskiego, długo żył w Warszawie i na Mazurach,

*) Kościuszko pojechał także do Ameryki, aby tam walczyć za wolność wybijających się z pod przemocy Anglii Stanów zjednoczonych. Potem wrócił do kraju i został naczelnym wodzem wojska polskiego w 1764 roku w wojnie przeciw Rosyi.

znał dwór, króla, Czartoryskich i wielu znakomitych ludzi owego wieku.

Rogowski z łatwością namówił Puławskiego i Kościuszkę, aby się z obiadem do gwiazd wstrzymali i zmienili go zwyczajem polskim na wieczerzę. Obaj przyklasnęli tej myśli. Dzień zeszedł szybko, poszli oglądać okolicę, potem wrócili, nic nie zobaczywszy, bo mieli co innego na myśli, mówili o Wiśle i Bugu.

Nareszcie przyszedł wieczór... Karol już tylko oczekiwał na ukazanie się gwiazd... był w gotowości.

Serce mu biło, jak swawolnemu studentowi, który zamierza spłatać figla,.. wszedł do ogródka, po którym przechadzali się wodzowie i, uśmiechając się, rzekł do Puławskiego.

— Panie generale, wieczerza na stole.

— A! wieczerza! Tak! — podchwycił gospodarz — żartuj zdrów, co mi to za wieczerza w Ameryce! Nie polska to nasza, owa Wigilia braterska, uczta święta, ale... co Bóg dał... chodźmy.

Ująwszy pod rękę Kościuszkę, zmierzał, jak zwykle na górę. Karol wskazał mu drzwi na dole.

— To tu — rzekł.

— Tu? — spytał Puławski. — Cóż to jest?

— Tak nam wypadło — odpowiedział Karol.

W tem murzyn otworzył drzwi.

Salka przedstawiła widok niezwyczajny i niespodziany. Naga izba ubrała się świątecznie, ściany zawieszone były zielonemi gałęźmi cedrów, jodły i cisów, stół świecił rzęsisto, okryty białym obrusem, pod którym siana domyślać się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Puławski jak olśniony stanął w progu. Najpierw zobaczył opłatki na talerzu, odwrócił się wię do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując.

— Poczciwy, kochany przyjacielu — zawołał rozrzewniony — chyba twoje złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek i podał go pierwszemu Kościuszce.

— Gdy w Polsce rozłamiecie go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie sobie i Trenton — rzekł cicho.

Milcząco, uroczyście, jak w świątyni, z myślą do Boga wzniesioną, łamali się tułacze chlebem życia, a myśl ich i serce biegły tam, gdzie do nich także biły piersi stęsknione rodziny, braci, przyjaciół.

Z rozweselonem czołem zasiedli do stołu. Niestety murzyn barszczu z uszkami zrobić nie umiał, zastępowała go polewka. Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z pozoru; murzyn ów, czego nie mógł dobrze wyrozumieć, w to kładł jak najwięcej pieprzu, który w jego przekonaniu zdolnym był zastąpić wszystko i omylić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żydowsku z patatami (gatunek kartofli) i smażone z kapustą palmową, wybornie się udały.

Biesiadnicy pozostali długo w noc przy tym stole, pito niewiele, powoli, ale mówiono dużo.

Późno już ktoś przypomniał obyczaj Wigilii naszej wyciągania z pod obrusa siana; miało to podobno znaczenie, iż kto najdłuższą trawę wysunął, u tego najpiękniejszy len miał obrodzić.

— Ciągnijmy więc — dodał, śmiejąc się, Puławski — będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żniwie.

W tem sianie amerykańskiem były, prawdę mówiąc, przeróżne rośliny, nie wszystkie do traw należące. Każdy rękę włożył pod obrus, a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Puławskiemu dostał się jakiś kwiat nieznany, już zeschły na którego łodydze parę tylko listków zielonych zostało.

Rogowski dobył kiść dość długą, na końcu jej grono nasionek przypominało naszą hreczkę.

Karol wyciągnął łodygę zieloną z kwiatami jeszcze niezupełnie zwiędłymi.

A pan Tadeusz zdziwił się, wyjąwszy uciętą młodą gałązkę o liściach laurowych.

Śmiali się wszyscy, nie wiele do tego przywiązując znaczenia, a pan Puławski rzekł:

— Wam laury, panie Tadeuszu! Daj Bóg, byś je zbierał. Mnie się dostało coś zeschłego, czarnego, jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie...

Wstali wszyscy od stołu.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta, każdy poszedł, nie zasnąć, ale myślą polecieć ku Ojczyźnie.

Z pism J. I. Kraszewskiego.

Przygoda Kaleda.

Przypowieść wschodnia, którą opowiedział dzieciom swym Adam Mickiewicz.

»Pewnego podróżnego zaskoczyła raz na morzu straszna burza. Wkrótce wiatr zerwał żagle, maszty połamał, i przekonano się, że nic już nie zdoła uratować okrętu wpędzonego na skały. Wobec niechybnego rozbicia majtkowie próbowali wpław się dostać do brzegu, widniejącego im w dali.

»Skoczył i Kaled w spienione fale, ale pochwycony nagle wirem podwodnym, ogłuszony, wnet stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, obaczył się leżącym na piasku morskiego wybrzeża. Burza już cichła — bałwany, które tak gwałtownie niedawno się miotały, ledwie wzdymały teraz modrą powierzchnią wód, ale nie dojrzał nigdzie śladu okrętu, ani nawet jego szczątków. Widocznie otchłań wszystko pochłonęła i nikt oprócz Kaleda nie ocalał; lecz ledwie uszedł niebezpieczeństwa, zagrażała mu znowu śmierć straszniejsza jeszcze od tej, którą zginęli jego towarzysze.

»Sam jeden, bezbronny, nagi, (bo odzież rzucił był na okręcie, aby nie zawadzała mu w pływaniu), cóż miał począć w tym kraju nieznanym, może niezaludnionym wcale, a może zamieszkałym przez ludożerców? W tem, gdy tak rozpaczliwie dumał nad swem położeniem, dojrzał w oddaleniu jakiś tłum, idący w jego stronę. Przyczajony za odłamkiem skały patrzył, jak zbliżali się ku niemu ludzie widocznie nie dzicy. Barwne mieli ubrania, lśniącą broń, postępowali w ściśle zachowanym porządku, w pośrodku niesiono bogaty palankin (nosze).

»Co najbardziej zadziwiło Kaleda, to, że kroczyli wprost ku niemu, jak gdyby wiedzieli, w jakiem miejscu się schronił nieszczęśliwy rozbitek. Wreszcie znaleźli się o kilka kroków od niego. Wówczas wystąpił naprzód jeden z orszaku, niosąc pyszne szaty, a na nich złoconą szablę, jaśniejącą oprawą z drogich kamieni i przyklękając przed zdumionym Kaladem, rzekł najczystszą arabską mową: »Wodzu nasz, racz przybrać się w oznaki swej godności i pozwolić, aby cię niewolnicy twoi zanieśli do stolicy, gdzie ciebie wygląda lud wierny, do pałacu, gdzie dwór oczekuje swego pana«.

Nim Kaled zebrał się na odpowiedź, już zręczne ręce niewolników przyoblekły go w szaty wspaniałe, i ujrzał się siedzącym w złocistym palankinie, wzniesionym wysoko ponad kornie chylące się wokoło głowy. Przed bramą miasta stały uszykowane pułki wojska i wśród oznak radości ludu wprowadzono Kaleda do pałacu. Tam ministrowie, wszyscy dostojnicy i urzędnicy państwa kolejno ofiarowali mu swe służby, oprowadzając go po gmachu, w którym znalazł wszystko, o czem tylko mógł kiedy zamarzyć.

Zrazu niedowierzający jeszcze swej własnej potędze, Kaled nieśmiało próbował rozkazywać, ale gdy się przekonał, że istotnie jest władcą owego kraju i to władcą absolutnym, że najmniejsza jego zachcianka jest prawem i że bez żadnego ograniczenia wszyscy ulegają każdemu jego skinieniu, zaczął rządzić, w niczem już nie krępując rozmaitych swych fantazyi. Nikt nie protestował, choć wódz we wszystkiem własnej tylko szukał przyjemności i zabawy, a poważniejsze sprawy odkładał zawsze na czas późniejszy.

Żaden z panów nie przekładał mu, że wypadałoby młodemu wodzowi zasięgnąć rady starszych i doświadczonych, poznać gruntownie stan swego kraju i potrzeby podwładnych, Kaled zaś był przekonanym, że mądrością i znajomością wszech rzeczy nikt mu dorównać nie może, i że sztuka panowania ogranicza się na tem, aby jemu samemu było dobrze.

Po kilku miesiącach takich rządów, a raczej takiego używania, gdy raz w dzień słotny nie chciało mu się ani polować, ani z tarasu pałacowego przypatrywać się obrotom dzielnych jeźdźców swych, ani uczty wyprawiać, słowem

gdy się nudził i czas lecący dotąd z szybkością błyskawicy jakoś mu się dłużył, zastanowił się po raz pierwszy nad dziwną swych losów koleją, i jasne pasmo jego myśli zachmurzyła nagle zagadka, której (sam się teraz temu dziwił) od wyniesienia swego nigdy ani razu nie był wziął na uwagę, umysł wciąż mając zaprzątnięty czem innem. Klasnął więc w dłonie i przybiegającemu niewolnikowi kazał pójść zawołać starszego wezyra. Po chwili już się stawił starzec siwobrody, pokornie chyląc przed swym panem poważną postać, latami zgarbioną.

— Powiedz mi — zagadnął Kaled — jakim sposobem się to stało, że w chwili, kiedy przypadkowe zdarzenie, burza, wyrzuciła mnie na wasz ląd, wyście mnie już oczekiwali i przyszli spotykać? Zkądżeście wiedzieć mogli o mojem przybyciu? Dlaczego znalazłem wówczas właśnie tron ten opróżniony?

— Panie — odpowiedział wezyr — taki już u nas porządek rzeczy, że w pewnych odstępach czasu, mniej więcej co rok, powstaje wielka burza i morze wyrzuca nam tego, który ma być naszym wodzem. Gdy więc wicher zwiastuje nam, że chwila ta nadeszła, idziemy go witać.

— A cóż się dzieje z tym, który był wprzódy? — zapytał wódz zaniepokojony nagle.

— Mamy prawo odwieczne, że przed nowym władcą dawny ustąpić musi, więc wówczas wsadzamy wodza do łódki z tem co miał na sobie, kiedy do nas przybył, to jest z niczem, bo nagiego zawsze fala do lądu przynosi, i odwozimy go na skalistą i odludną wysepkę, tak oddaloną, że wcale jej ztąd dojrzeć nie można. Tam poprzednik wasz, porzucony sam jeden, wielką teraz nędzę znosić musi.

— Dlaczego nie ostrzeżono go o tem zawczasu?

— I owszem, ja sam mu zapowiedziałem, co go czeka.

— A czy nie mógł przygotować sobie czego i na tej wyspie? — badał dalej Kaled ze wzrastającym niepokojem.

— Nic mu ku temu nie stało na zawadzie, bo rządził tutaj wszechwładnie, tak jak ty dzisiaj. Mógł pałac budować, ogrody zakładać i wyspę tę w rozkoszną zamienić siedzibę, ale...

— Ale? — powtórzył zaciekawiony Kaled.

— Ale wysepka pozostała dotąd pustą i nagą, bo żaden z panujących nie chciał wierzyć, że wkrótce dla niego wybije ostatnia godzina tych rządów, i zawsze łudził się, że na dalekie jakieś tam przygotowania będzie miał aż nadto czasu.

— To chyba wszyscy moi poprzednicy byli pozbawieni rozumu! — zawołał Kaled, ruszając ramionami. — Jakże inaczej wytłumaczyć sobie taką lekkomyślność, takie zaślepienie!

— I ty to ich sądzisz¿ — odpowiedział wezyr głosem, którego potężne brzmienie tak przeraziło Kaleda, że zadrżał cały, i zdało mu się, że mury pałacu się nad nim chwieją. Spojrzał na zuchwałego starca i osłupiał, widząc zdumiewającą źmianę w obliczu pokornego dotąd sługi. Wyprostował się nagle, odmłodniał, twarz jego nieziemską zajaśniała pięknością, z oczu strzelił płomień jasny a groźny.

— Nazywasz ich szaleńcami — mówił dalej — a ty czyż nie postępujesz tak samo, ty, który w krótkiem życiu ziemskiem myślisz tylko o dzisiejszej chwili, o dobrach znikomych i przemijających, a nigdy się nie troszczysz o zabezpieczeniach swego losu na tamtym świecie¿

I rozpłynęła się w mgle świetlanej anielska postać, zniknął pałac królewski. Kaled obudził się ze snu, do którego był go ukołysał ruch okrętu, płynącego bezpiecznie po morzu.

Tatarzy i ich napady na Polskę.

Polskę zwano przedmurzem chrześcijaństwa. Zaiste, zasłużyła sobie też na to. Gdyby nie Polacy, dawno we Wiedniu zamiast krzyża, błyszczałby półksiężyc mahometański. Gdyby nie Polska, Tatarzy byliby wyludnili Europę, a w miejscach, gdzie dziś kołyszą się łany bujnej pszenicy, byłyby pustynie, na których ledwo udawałaby się hreczka, dotąd, lubo fałszywie, tatarką zwana. Tatarzy jej bowiem do Polski nie przynieśli ze sobą.

Szczep tatarski należy do rasy Mongołów, mających kolebkę swoją w Azyi. Koloru są brunatno-oliwkowego, mają małe i skośne oczy, postaci są średniej, ale krępej.

Był to lud żyjący z rabunków, łupieży, nie trudniący się żadnym przemysłem, aby się z własnej pracy mógł wyżywić. Że do tego jeszcze byli poganie, stąd nie dziw, że świat europejski trząsł się przed nimi. Czynili oni początkowo aż z głębi Azyi wycieczki do Europy, a te wycieczki zawsze zaznaczali mordem i pożogą.

Wreszcie ich wodzowie »chanami« zwani, ośmielili się na walniejszą europejską wyprawę, i w XIII. wieku zdobyli Krym wraz z przyległemi okolicami. Długo Tatarzy samodzielność swą utrzymywali, aż wreszcie europejski oręż i europejska kultura położyła koniec pogańskiemu gospodarstwu.

W czasie, kiedy Tatarzy mieli swój byt polityczny, cierpiała głównie Polska. jako mur odgraniczający inne narody od nich. W roku 1241 wpadłszy do Polski, spalili Kraków, poniszczyli wsie i miasta, wpadli do Śląska, zniszczyli Wrocław i zagrozili całej zachodniej Europie.

Zebrało się wojsko polskie, pomnożone wojskiem niemieckiem, i stoczyło walną bitwę pod Legnicą. Wojskiem dowodził książę opolski Henryk Pobożny (Piast). Bitwa trwała dzień cały, — dowódzca chrześcijański padł trupem, — i poganie zwyciężyli. Ale to zwycięstwo tak drogo swemi własnemi trupami opłacili, że się cofnąć musieli. Na dowód zaś swego zwycięstwa zebrali wielkie mnóstwo uszów oberżniętych chrześcijańskim trupom.

To była jedna z głównych napaści na Polskę, a względnie na całą Europę. Sama Polska wciąż musiała się mieć przed nimi na baczności. Stąd też wszystkie prawie dwory pod owe czasy na Podolu i Ukrainie były małemi twierdzami. Tatar wpadając do Polski nie myslał tyle o bitwie, ile o zdobyczy. Zatem napadał tylko bezbronne sioła, które plądrował, ludzi zdatnych do pracy uprowadzał w jasyr (w niewolę), a starce i dzieci bez miłosierdzia mordował. Skoro horda tatarska trafiła na opór, uciekała po krótkiej utarczce.

Obwarowanych dworów nie zaczepiała, bo do szturmu ani nie miała odpowiednich narzędzi, ani czasu, wiedząc, że skoro się wieść o napadzie rozszerzy, wnet rycerstwo polskie wsiądzie im na kark, a wtedy już zapóźno uciekać z łupem. Chodziło więc Tatarom, aby wpaść niespodzianie,

złupić i splądrować, a nim rycerstwo nadciągnie, już być znowu za granicą.

I to im się też zwykle udawało.

Tatarzy mieli trzy drogi, któremi wpadali do Polski. Te drogi nazywano szlakami. Wszystkie trzy zmierzały ku Lwowu.

Ślak Kuczmieński prowadził od Oczakowa do brodu na rzece Kuczmieniu. Ślak Czarny czyli lesisty, od Czakowa ponad Dniestrem na Czerkasy, Kaniow, Połowce, Łuck, Sokal aż do Lwowa. Trzeci ślak zwany wołoskim ciągnął się środkiem Wołoszczyzny nad brzegami Dniestru, a dalej zwracał się około źródeł rzek Ruczawy, Urzycy i szedł na Żyrków i Buczacz w kierunku Lwowa.

W tych też okolicach najwięcej znajdowało się miejsc warownych, gdyż tu każdego dnia można się było spodziewać, że się ujrzy małe skośne oczy Tatara, sadzącego na małym ale zwinnym koniku.

Minęły wreszcie te czasy, i Tatarzy już pod rządami królów polskich zaczęli w Polsce osiadać, jako obywatele. Polska, dla wszystkich szlachetna, mało ich ograniczała. Witołd, książę litewski, brat króla Władysława Jagiełły, utworzył z nich bardzo zasłużony oddział lekkiej jazdy, który nawet w roku 1410 bardzo się przyczynił do złamania potęgi Krzyżactwa.

Tatarzy osiedli w Polsce, wnet zlali się z ludem, przyjęli język polski, a nawet religią katolicką. Stąd wiele rodzin polskich do dziś istnieje, nie wiedząc może, że ich początek jest tatarski. Tak, Sobolewscy, Koryccy, Ułanowie, a mianowicie z końcówkami na wicz, jak Józefkiewiczowie, Azulewiczowie, Abramowiczowie i inni, którzy do imienia ojca polską przyłączyli końcówkę.

Początkowo Tatarzy w Polsce byli poganami. Lecz to nie długo trwało. Aczkolwiek nie zabraniano im wierzyć, jak im się podobało, nie wolno było jednakże żyć we wielożeństwie. To poskutkowało, i wkońcu wszyscy się pochrzcili. Kiedy Zygmunt August, król polski, kazał zrobić spis Tatarów, już wszyscy prawie byli chrześcijanami, umieli po polsku, a właściwie mówiąc, byli już Polakami.

Tak im się Polska podobała.

Pod berłem rosyjskiem także osiadło mnóstwo Tatarów, i język rosyjski naszpikowany jest wyrazami tatarskiemi. Ale jak to pod Moskalem, tam Tatarzy nie tak prędko zleją się z prawosławiem i do dziś jeszcze są poganami wyznania mahometańskiego.

Bułgarzy macedońscy.

Opis ludu i kraju, gdzie teraz toczy się wojna.

Od roku 1885, to jest od czasu przyłączenia Rumelii do Księstwa Bułgarskiego, Turcya europejska składa się z następujących prowincyi: Tracyi, w której leży Konstantynopol, Macedonii, Starej Serbii, Albanii.

Środkową część państwa — pomiędzy górami Szar-Dagien i Despoto-Dagien, z jednej strony, a Bułgaryą i morzem Egiejskiem z drugiej, zajmuje Macedonia.

Pod względem przyrody jest to kraj piękny, górzysty, przerznięty kilku rzekami, jak Bystrzyca, Wardar, Strimen, — po obu wybrzeżach, których ciągną się szeroko żyzne doliny. Łagodne, ciepłe powietrze, urodzajna ziemia, obfitość wszelkiego rodzaju płodów, — wreszcie sąsiedztwo morza, w które Macedonia wdziera się poszarpanym, palczastym półwypem Soluńskim, — mogłyby uczynić kraj ten prawdziwie szczęśliwym, gdyby nie powikłane stosunki ludzkie.

Przedewszystkiem Macedonia jest krainą o nadzwyczaj różnorodnej ludności. Z dawien dawna zamieszkiwali ją Macedończycy — lud pochodzenia greckiego, niegdyś bitny i sławny. Dziś zajmują oni południowo-zachodni kąt Macedonii i wraz z licznie rozsianymi po całym kraju pobratymcami swymi, Grekami, ciążą nieustannie ku sąsiedniej Grecyi. Północno-zachodnia część Macedonii jest znów prawie zupełnie serbską. Nakoniec resztę kraju — prawda, że największą, — zajmują mniej lub więcej czyści Bułgarzy. Gdy do tego dodać wielką ilość Spanjolów to jest żydów, którzy osiedlili się tutaj gromadnie po wypędzeniu ich z Hiszpanii (w roku 1492), oraz Turków, rządzących krajem, to będziemy mieli pojęcie o tej pstrokaciznie narodowościowej, jaką przedstawiają mieszkańcy Macedonii.

Nic więc dziwnego, że przy takim składzie ludności, z Macedonią jest tak, jak z tym wozem, co go łabędź, rak i szczupak ciągnęły każde w swoją stronę...

Opowiemy parę szczegółów o Bułgarach macedońskich.

Są oni rzeczywiście odłamem narodu bułgarskiego, zaludniającego Bułgaryę i Rumelię wschodnią. Jak tamci, dzielą się na liczne plemiona, czyli rody, różniące się nazwą, ubiorem, a po części obyczajami i odcieniami mowy.

Jednym z takich rodów w północnej części kraju są Myjacy, których nazwa ma jakoby pochodzić od zwyczaju częstego mycia się. Zajmują się oni przeważnie ogrodnictwem i ciesielstwem Lud to piękny, wysokiego wzrostu, silny i dzielny. Uważają oni siebie za wyższych od reszty Bułgarów i niechętnie się łączą z innemi plemionami.

Szczególny panuje u nich zwyczaj, że małżeństwa można zawierać od 20 go lipca do 15-go sierpnia, w innej porze nie wolno się żenić. Ale zato, gdy nadejdzie upragniony dzień rozpoczęcia wesel, występuje na środek wsi najstarszy z gromady w otoczeniu poważnych ojców, wzywa przybraną odświętnie młodzież i ogłasza, że oto nadeszły już »dni wesela«... Wtedy młodzież uradowana klęka, prosi starszych o błogosławieństwo, a otrzymawszy je, cieszy się, śpiewa i strzela na wiwat. Na domach, gdzie mają wyprawiać się wesela, wywieszają czerwone, złotem wyszywane sztandary, i rozpoczynają się zwykle obrzędy zaślubin.

W sąsiedztwie Myjaków żyją Polency (Polanie), mniej okrzesani i dziksi od tamtych.

Do najbardziej rozwiniętych należą Puliwakowie, a szczególnie Darzile, którzy od niepamiętnych czasów stanowili postrach Turków i Greków. Z pośród nich wychodzą najdzielniejsi kupcy, sukiennicy, młynarze, maślarze, rzemieślnicy i rolnicy. Wielu Darzilów mieszka na obczyźnie, po rożnych miastach Grecyi, Turcyi i Austryi, wszyscy jednak poczuwają się do jedności z rodem, który ich wydał, i gdzie mogą, swoim pomagają.

Tu i owdzie spotykają się wśród Bułgarów macedońskich poturczeńcy i pogreczeńcy, to jest tacy, którzy oddawna przyjęli obyczaj i język turecki lub grecki. Prawy Bułgar nie ma ich oczywiście za Słowian i gardzi nimi, nienawidząc ich nie mniej, niż samych Turków i Greków.

Kto wie, czy nie większa nawet jest nienawiść jego do Greków, których Turcy zręcznie używali niegdyś do tępienia Bułgarów. Bułgarzy nie mogą zapomnieć tych czasów, kiedy duchowieństwo greckie prześladowało wszystko, co było najdroższe Bułgarom, wyszydzało ich język i zwyczaje, wyszukiwało i paliło na stosach bułgarskie książki, rękopisy i inne stare pamiątki. Dziś nawet w Macedonii takich nadużyć już nie bywa, ale pamięć o dzikiem prześladowaniu nieczystych »fanaryotów», jak lud bułgarski nazywa Greków, dotąd wśród niego się przechowuje. Bułgar nie może rzucić gorszej obelgi, jak nazwać kogoś Grekiem; co jest nikczemne, chytre, podstępne, mianuje Grekiem. Pięćset lat prześladowania i niewoli tureckiej zaszczepiły na całej ziemi bułgarskiej niepohamowaną nienawiść względem Turków i Greków; w wolnej dziś Bułgaryi uspokoiła się ona nieco, ale w Macedonii trwa w całej sile i grozie.

Z obyczaju i życia, Bułgar macedoński podobny jest do swoich braci z Bułgaryi: ten sam ubiór, po części narodowy po części od Turków przejęty, te same pieśni i obrzędy, ta sama gościnność względem każdego, kto wszedł pod dach Bułgara. Gościa częstują kawą, stawiają przed nim słodycze owocowe, orzechy, pierniki i butelkę starej śliwowicy. Bułgar nie jest tak rozmowny, miły i wesoły, jak Serb, mniej śpiewa i tańczy, ale w każdym razie jest uprzejmy, a w obejściu prosty i serdeczny.

Pomimo biedy i ucisku, w jakim żyją Bułgarzy macedońscy, starają się wszelkiemi siłami podnieść, by dorównać swym braciom z Królestwa. Szczególniej dbają o naukę dzieci swoich i o szkoły. Bułgar wydaje ostatni grosz na kształcenie syna; ten później wraca najczęściej do wsi rodzinnej lub miasteczka, osiada jako lekarz, czy nauczyciel, i pracuje dla dobra współbraci. Między nauczycielami szkółek bułgarskich w Macedonii spotkać można ludzi nietylko wysoko wykształconych, ale serdecznie, z zaparciem się i poświęceniem oddanych nauce młodzieży.

Z miast macedońskich największem jest Soluń, czyli Saloniki, dawniejsza Tessalonika, ważny port handlowy, leżący w głębi pięknej zatoki. Miasto ma przeszło 150 tysięcy mieszkańców, liczne fabryki safjanu, dywanów i kwiatów jedwabnych.

Tutaj kończy się długa linia kolei żelaznej, która przez Belgrad prowadzi do Wiednia, łącząc Macedonię z Europą środkową. W Salonikach przebywa wielu żydów, cudzoziemców oraz kosnulowie różnych państw europejskich.

Miasto Seres (24 tysiące mieszkańców) handluje bawełną; Drama, słynie z plantacyi tytoniu i z perkalików; Jenidże, leży niedaleko Salonik, na miejscu dawnej stolicy królów macedońskich.

Dziecko kłamliwe.

Niema występku pospolitszego nad kłamstwo. Kłamią dzieci i dorośli, kłamią panowie, słudzy, kłamią małżonkowie, słowem kłamstwo sięga do wszelkich stosunków ludzkich, zaraża szlachetne nawet porywy i dobre uczynki.

Wobec tej smutnej prawdy rodzicom koniecznie narzuca się sam z siebie obowiązek: ucz dziecko prawdy!

Do kłamstwa popycha je zgubna skłonność skażonej natury, przewrotność naszych stosunków, zły przykład — lecz prawdy uczyć się trzeba i ćwiczyć w niej nieustannie.

Od najmłodszych lat ucz dziecię twoje o matko, aby przed tobą nie miało tajemnic, wykrętów, podstępów, staraj się czytać w duszy jego jak w otwartej książce.

Ale chcąc nauczyć dzieci zamiłowania prawdy, starajmy się przedewszystkiem, aby w domu naszym panowała bezwarunkowo prawda. Atmosfera domu rodzicielskiego niech będzie czysta i zdrowa, aby nasienie dobrego zasiane w dusze dzieci wzrastać mogło. — Jeżeli żona okłamuje męża, mąż oszukuje żonę, a dzieci są świadkami tych wzajemnych krzywd i błędów, lub co gorsze, jeżeli są wmieszane w jakiś sekret i słowami: nie powiadaj mamie! zobowiązane do milczenia — czego można się po nich spodziewać, gdy dorosną?

Przyzwyczajone do kłamstwa, umacniają się dzieci w przekonaniu, że kłamstwo jest potrzebne, a zapewne i pożyteczne, bo ojciec i matka ustawicznie się niem po-

sługują. Wtedy już stale próbują kłamstwem zasłaniać swoje winy.

Zdarza się też często, że rodzice, choć sami prawdomówni, bezwiednie popychają dzieci do kłamstwa przez to, że karzą zbyt surowo małe ich wykroczenia, szkody popełnione skutkiem żywości lub niezgrabności, n. p. stłuczenie jakiegoś naczynia, podarcie sukienki i t. p. Dziecko znając surowość rodziców, z obawy przed karą próbuje kłamstwem zasłonić swoją winę. Gdy się to uda raz i drugi, kłamią coraz śmielej bezczelniej, kłamią zawsze bez powodu. — Taki to jest szybki postęp złego!

Niech raczej dziecko wie zawsze, że kłamstwo gorszem jest przewinieniem, niż jakaś szkoda, lnb figiel wyrządzony przez pustotę — i że otwarte wyznanie prawdy każdą winę w części zmaże Kłamstwo zaś surowiej karać należy, niż każde inne wykroczenie. Ta zasada jest tak ważna w wychowaniu, iż żadną miarą lekceważyć jej nie można.

Tylko prawdomowny człowiek może zyskać zaufanie i szacunek współbraci, tylko taki może być dobrym ojcem rodziny i zacnym obywatelem.

Dlaczego myć się należy?

Dlaczego myć się należy? Zabawne pytanie! »No, dlaczego, aby nie być brudasem, niechlujem, bo wstyd być nieumytym«, odpowie każdy czytelnik i czytelniczka. Prawda, macie racyę, ale nie ze wszystkiem.

Myć się trzeba nietylko, że nieładnie jest być brudnym, ale i dlatego, że być brudnym jest niezdrowo. Zaraz to wytłómaczymy. Wiecie, że oddychamy płucami. Oddychanie jest przyjmowaniem do płuc powietrza czystego i wydychaniem złego, które się w naszem ciele zepsuło.

Musimy bezustannie ciało nasze czystem powietrzem zasilać. Powietrze jednak wchodzi do naszego ciała nietylko przez płuca, ale całą skórą, pokrywającą ciało. W skórze naszej są miliony maleńkich otworów czyli por skórnych. Jeżeli ciała naszego nie obmywamy, to wyschnięty

pot i brud zatykają pory, nie przepuszczają powietrza, same płuca muszą zbytecznie pracować i zanadto się męczą. Łatwo wtedy bardzo dostać zapalenia płuc.

Dodajmy jeszcze i to: Przez pory skórne powinien z naszego ciała bezustannie pot wychodzić; jeżeli skóra jest zanieczyszczona i pory zatkane, to pot musi odejść inną drogą za pośrednictwem nerek i to jest dla nich zbyt wielka praca, z czego może wyniknąć niebezpieczna choroba nerek.

Aby więc uniknąć chorób, trzeba się myć starannie i to nietylko ręce i twarz, ale całe ciało obmywać często ciepłą wodą i mydłem. Niema wanny, to można w balii, szafliku, umyć się od stóp do głów. Niema kociołka lub dużego sagana do grzania wody, to rozpalić kilka kamieni do białości, wrzucić je do szaflika lub beczki, napełnionej do połowy zimną wodą i ciepła kąpiel gotowa. Trzeba się tylko dobrze wymyć ostrą płócienną szmatką i mydłem, bo przez samo siedzenie w ciepłej wodzie, skóra się dokładnie nie oczyści.

Najlepiej skórę czyści parówka, bo ciepła para to robi, że skóra mięknie, pot z człowieka przez owe pory szybko wychodzi, wszystkie brudy i zatyczki przed sobą wypycha. To też dobrzeby było, gdyby w każdej wsi łaźnię parową wystawić do użytku wszystkich mieszkańców. Cały budynek, złożony z dwóch izb, jednej do rozbierania się i ubierania, a w drugiej z piecykiem do parzenia się, możnaby za niewielkie pieniądze wspólnemi siłami postawić. Są już wsie takie zagranicą, gdzie łaźnie istnieją, ale na nieszczęście, niewiele ich jeszcze.

Dokóki jednak we wsi niema łaźni, trzeba się kąpać w ciepłej wodzie, chociażby raz na miesiąc. Dla dzieci to zarzadko. Im dziecko mniejsze, tem częściej kąpieli potrzebuje; niemowlę dobrze jest kąpać codzień; tak łatwo przecie zagrzać garnek wody i w niecułce dziecinę wypluskać, a czysto utrzymane i dobrze karmione rosnąć będzie, jak na drożdżach. Starsze dzieci powinny matki przynajmniej co sobotę wykąpać, głowę wymyć i wyczesać porządnie przed obleczeniem w czystą koszulę.

Czy zimne powietrze szkodzi zdrowiu?

Wiele osób mniema, że zimno szkodzi zdrowiu, a zatem o ile możności nie wychodzą zimą z pokoju, ażeby uniknąć zaziębienia i połączonych z tem następstw. Ostre przenikliwe zimno, silne wiatry szkodzą tylko chorym na płuca, osobom bardzo słabym, lub ozdrowieńcom. Kto zaś nie ma żadnego organiczcnego błędu, może i nawet powinien zimą używać ruchu na świeżem powietrzu; wyjdzie mu to bardziej na zdrowie, niż ciągłe oddychanie zużytem powietrzem w pokojach.

W krajach zimnych, jak Szwecyi, Norwegii, Islandyi i t. d. mieszkańcy są w ogóle zdrowsi, silniejsi i bardziej wytrzymali, niż w krajach południowych. Japończycy, Eskimosowie i t. p. nie znają ani dziesiątej części tych chorób, jakim podlegają ludy cywilizowane naszej umiarkowanej strefy, najlepszy to dowód, że zimno dobrze oddziaływa na stan zdrowia. Dużo osób choruje zimą dlatego jedynie, że całymi miesiącami unikają świeżego powietrza, przez co cierpi cały ustrój, gdyż siły nikną.

Rozmaitości.

Więźniowie do robót polnych.

Prezydyum sądu krajowego wyższego w Krakowie upoważniło na mocy reskryptu ministestwa sprawiedliwości prezydya sądów obwodowych należących do krakowskiego okręgu wyższego sądu, aby przychylały się do próśb właścieli ziemskich i dzierżawców dóbr o dostarczanie więźniów do robót polnych, nawet gdyby oddział więźniów miał nocować poza domem więziennym.

Straszny wypadek.

Z Poznańskiego donoszą o następującym wypadku: pewna kobieta postawiła garnek gorącej kawy na brzegu stołu, poczem niechcący zaczepiła go rękawem; garnek przewrócił się i war wylał się na bawiące się na ziemi

niespełna rok liczące dziecko, które wskutek ciężkiego poparzenia po 11-tu godzinach męczarni skonało.

Żal matki po utracie w tak smutny sposób dziecka jest wielki, lecz jest to znowu nauka, ażeby na każdym kroku dawać na wszystko baczność, chcąc uiknąć wielkiego nieraz smutku i boleści.

Bitwa żydów w bóżnicy.

W bóżnicy przy ulicy Dzikiej 31 w Warszawie przełożony jej „gabe“, ogłosił, że żydowi nie wolno nosić kołnierzyka prasowanego, bo to „postęp“, i zarazem zagroził, że którzy przyjdą do bóżnicy w kołnierzyku, zostaną z niej — wyrzuceni.

Pomimo to, w szabas przyszło do tej bóżnicy kilku żydków w kołnierzykach. Zaczęło się więc „wyrzucanie“, co wywołało opór i bitwę, w czasie której poturbowano się wzajemnie, a jednemu chasydowi wyrwano kawałek brody.

Zabawny wypadek

wydarzył się na podwórzu pewnego kupca w Chełmnie, w Prusiech zachodnich. W stajni do wyprzęgu urwał się koń i wszedł po 16-tu schodach na śpichrz, do którego drzwi stały otwarte. Stamtąd w żaden sposób koń nie dał się wyprowadzić, tak, że musiano sprowadzić weterynarza, który konia chloroformem uśpił. Potem na schody poprzybijano deski i konia na linach spuszczono. Po dwóch godzinach można było konia znów do wozu zaprzągnąć.

Jak w Prusiech karzą fałszerzy masła i mleka.

Gazety niemieckie piszą: Dość często słychać o niesumiennych osobach, które na targi przywożą masło zmięszane z mniej wartościowemi artykułami spożywczemi, naprzykład z margaryną, ziemniakami i t. p., sprzedając tak fałszowane masło po zwykłej cenie.

Policya naturalnie czuwa nad tem, aby publiczność nie była oszukiwaną, ale mimo to zdarza się, że niejedna gospodyni dopiero w domu przekonuje się, że padła ofiarą niesumiennych kobiet.

Wobec tego warto przytoczyć surowy, ale zupełnie słuszny wyrok, który zapadł w Berlinie. Handlarz tamtejszy Ernest Schwanebeck za sprzedaż fałszowanego masła, dawniej już karany za takie przestępstwa, skazany został na trzy miesiące więzienia, a nadto 300 marek kary. Córka zaś jego, wtajemniczona również w fałszerstwo, skazaną została na tysiąc marek.

— W mieście Jenie skazał rząd ławniczy pewnego handlarza na sześć tygodni więzienia za dolewanie wody do mleka.

Zemsta Bułgarów.

Gazety donoszą, że magazyn prochu w Salonikach wysadzony został w powietrze przez przywódców wojsk bułgarskich. Bułgarzy spowodowali wybuch — aby się zemścić na Turkach, których obozowisko znajdowało się tuż koło prochowni.

Wskutek wybuchu zginęło 212 żołnierzy tureckich, a 430 zostało ranionych. Z kawaleryi tureckiej zginęło 15 żołnierzy, a 30 zostało ranionych.

Rozruchy kolonistów w Argentynie.

W argentyńskiej kolonii Tres Kapones zbuntowali się ruscy koloniści. Powód do rozruchów dał rząd argentyński, który zmusił kolonistów do posyłania dzieci do szkół, w których uczą argentyńscy nauczyciele. Koloniści niezadowoleni z postępowania rządu, wtargnęli do szkół rządowych, zniszczyli całe szkolne urządzenie wewnętrzne i powyganiali nauczycieli. Ci ostatni zawezwali policyę do pomocy. Przyszło do ostrych starć pomiędzy policyą a kolonistami. W końcu koloniści wobec przemocy ulegli.

Straszna burza na Filipinach.

Na wyspach Filipinach, leżących w pobliżu Chin szalała straszna burza. Szczególnie wyspy Cebu i Leyte ucierpiały przez katastrofę żywiołową. Na wyspie Cebu znalazło śmierć 400 osób, 500 domów zburzonych. Szkoda wynosi 400 milionów koron, żniwo zniszczone. Na wyspie Leyte burza spustoszyła pola z trzciną cukrową i orzechami kokosowemi, szkoda wynosi 5 milionów koron.

Hojna ofiara.

W mieście Coutanres (we Francyi) rząd żydowsko-masoński wydalił kleryków z seminaryum i musiano ich umieścić w niedogodnym dawniejszym klasztorze w Carento. Teraz lady (pani) Reauchamps oddała Biskupowi Coutances do dyspozycyi dawniejszy zamek książąt Coigny. Napisała do Biskupa między innemi tak: „Jestem Anglikanką, ale wierzę w Jezusa Chrystusa Pana naszego. Kocham namiętnie Kościół katolicki i bardzo ubolewam nad uciskiem, którego w pięknej Francyi doznaje, której chlubię się być córką". Owa pani prócz tego dała Biskupowi 25 tysięcy franków na odnowienie owego zamku, aby mógł służyć jako seminaryam.

Nieszczęście nad brzegiem morskim.

Straszne nieszczęście wydarzyło się na wybrzeżu algierskiem (w Afryce). Dyliżans pocztowy, załatwiający służbę pomiędzy Algierem, a pobliską miejscowością Laghonat nad wybrzeżem, w drodze zaskoczony został przez olbrzymią falę morską, która wóz pocztowy rzuciła do morza. W bryce pocztowej znajdowało się dwunastu pasażerów, z których zginęło dziesięć osób. Uratował się tylko woźnica z żoną, który na czas zeskoczył z kozła.

Najmłodsza babka na świecie.

Obecnie Japonia posiada najmłodszą babkę na świecie. Pewna młoda japonka, zwykła wieśniaczka, liczy dopiero 28 lat, a jest już babką. Wyszła ona za mąż w 13 tym roku i powiła za rok córeczkę, która znowu wyszła w 14-tym rok życia za mąż i niedawno została matką małego japończyka. Młoda ta babka ma jeszcze swoją babkę i matkę.

Grób jako wynagrodzenie.

Książę Szczerbatów, wiceprezes muzeum historycznego w Moskwie obmyślił szczególne nagrody dla urzędników i woźnych tej instytucyi. W uznaniu gorliwej

pracy zakupił dla nich 50 miejsc na... cmentarzu, gdzie ciała ich znajdą na wieki bezpłatny przytułek.

Otruła się tabaką.

W Szwajcaryi zdarzył się ciekawy wypadek. W pewnem mieście przywieziono do szpitala kobietę, u której stwierdzono silne oznaki otrucia. Chora zmarła mimo starań lekarskich. W kieszeniach jej znaleziono tabakę, zawiniętą w cenyfolię, zawierającą w sobie pość dużo ołowiu. Stwierdzono, że tabaka nie zawierała dużo ołowiu. Kobieta zażywał jednak w ciągu miesiąca 300 gramów tabaki i w ten sposób zatruwała się codziennie ołowiem, który z centyfolii przechodził do tabaki.

Jak postępują rolnicy w Ameryce.

Właściciel fermy (gospodarstwa) z pod Bostonu, sprzedał innemu fermerowi cielę jeszcze przed urodzeniem za niebywałą sumę 6 tysięcy dolarów, co wynosi około 30 tysięcy koron, jeżeli noworodek będzie byczkiem, za jałówkę bowiem właściciel krowy stawiał jeszcze wyższe żądanie.

Rzecz cała polegała na tem, że matka, o której potomstwo tak się ubiegano, uzyskała wszechświatową nagrodę o mleczność, wykazując znacznie wyższą wydajność od swej matki babki, która również w swoim czasie potrafiła pobić swe współzawodniczki, zyskując także wszechświatowe nagrody.

Krowa ta w 3 cim roku życia wydała już 14 tysięcy angielskich funtów mleka, w rok później wydajność wzrosła do 18 tysięcy angielskich funtów, a w 5 tym roku życia potrafiła ona już wydać aż 18.808 angielskich funtów mleka.

Jubileusz tytoniu.

W roku bieżącym przypada „jubileusz“ 400-lecia tytoniu. Jubileusz ten musi szczerze cieszyć nałogowych palaczy. Ongi Krzysztof Kolumb spostrzegł, że czerwonoskórzy Amerykanie palili „jakieś ziele pachnące“ w fajkach, co nazywał on „tabako“.

I otóż w roku 1512 wydarzył się fakt bardzo „ważny“ dla Europy. W roku tym po raz pierwszy przywieziono tytoń. W końcu XVI. wieku tytoń zawitał do głuchej Rosyi, gdzie uzyskał wkrótce szerokie zastosowanie. W roku 1634 rząd rosyjski, chcąc wykorzenić to „czortowe zielje“, ucinał palaczom nosy. Do roku 1848 w całej Europie wzbronionem było palenie tytoniu na ulicach. Potem dopiero tytoń uzyskał sobie prawo wolnego obywatelstwa.

Pochodzenie chustki do nosa.

Chustka do nosa w teraźniejszej formie znajduje się w użyciu dopiero 127 lat. Zasługa ulepszenia chusteczki do nosa należy się królowej francuskiej Maryi Antoninie.

W końcu 1784 roku królowa wydała u siebie w Trianon małą ucztę, która zgromadziła całe zażyłe kółko dworu. Podczas wesołej uczty, któryś z obecnych gości kichnął, a następnie począł wyciągać z kieszeni niezmiernie długi ręcznik, zastępujący dzisiejszą chustkę do nosa.

Marya Antonina zwróciła uwagę na ten mały wypadek i odezwała się z uśmiechem do swego męża Ludwika XVI.: „Czy nie znajduje Wasza Królewska Mość, że wygodniej by było używać chustki kwadratowej, którą prędzej można wyjąć z kieszeni i łatwiej złożyć?“

W kilka dni potem, 2 go stycznia 1785 roku, został ogłoszony rozkaz Ludwika XVI., oznajmiający:

„Odtąd w całem królestwie długość chustki do nosa powinna równać się jej szerokości“.

Burza rewolucyjna przeleciała wnet potem nad Francyą, ofiarą której padł Ludwik XVI., lecz chustki do nosa zachowały kwadratowy format do dziś dnia, nietylko w samej Francyi, lecz na całym świecie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.